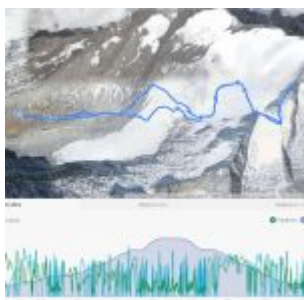


Punta Bianca. I o zaletach relacji

Zalety pamiętnika

Planując kolejne alpejskie przedsięwzięcie z cyklu „nigdy więcej” po raz kolejny przekonałem się o zaletach pisemnych relacji. Pamięć po latach zawodzi i tylko dzięki spisanim wspomnieniom jestem w stanie odtworzyć pewne fakty i lepiej przygotować się do kolejnego wypadu. Mogę też przeczytać sobie czarno na białym różne postanowienia i obietnice, jak np. tą, którą powtarzamy po każdym zimowym wyjeździe w Alpy: „NIGDY WIĘCEJ!”. Na szczególną uwagę zasługuje zdanie Tomka wypowiedziane w lutym 2013-go roku leżąc w namiocie przy temp. ok -30 stopni: „*Jak kiedyś wspomnę coś o Alpach zimą to mnie walnijcie w głowę*”. Cała relacja jest do przeczytania [TUTAJ](#). Rzeczywiście, przez długi czas nie jeździliśmy zimą w Alpy. Aż do feralnej wyprawy na [Allalinhorna](#), na którą i Tomek dał się skusić (celowo nie przypomniałem mu, co mówił pod Breithornem i nie wałęnałem go w głowę).

Dlatego też, tradycyjnie popełnię poniżej krótką relację z jednodniowej akcji na Punta Bianca oraz tradycyjnie – zaplanuję zimowy 4-tysięcznik, po którym tradycyjnie będziemy mieli dosyć tego typu akcji (co najmniej do kolejnej zimy).



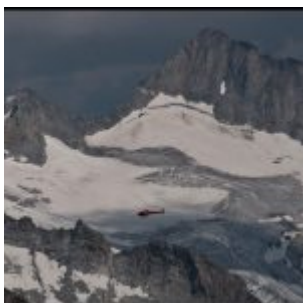
Mapka z zegarka Jacka



Na lodowcu



Też tam byłem



Turnerkamp (3418) – ładnie się prezentuje. Czyżby cel na kiedyś?



Na grani



Na grani



Okładka z magazynu o modzie w Alpach. O dawnej modzie.

Punta Bianca

Wczesne wyjście na lodowiec to podstawa

Jak wiadomo – na lodowiec wychodzi się we wczesnych godzinach porannych. A najlepiej przed wschodem słońca, a najnajlepiej to jeszcze w nocy. Bo lodowiec jest wtedy przymarznięty, bo śnieg się nie lepi do butów, bo komarów nie ma... Dlatego kiedy wstaliśmy do wyjścia, było jeszcze zupełnie ciemno. Jednak zanim znalazłem czołówkę, ktoś otworzył drzwi a ktoś inny głośno oznajmił, że jest godzina 9:40. Na zewnątrz słońce wysoko na niebie, niebo czyste, powietrze ciepłutkie. To tylko my w naszym kurniku tkwiliśmy w stanie hibernacji. Tak to jest, jak się śpi we 4 w małym pomieszczeniu z odciętym dostępem tlenu i światła. Na lodowiec zatem zejdziemy przed południem.

Lodowiec

Szlakiem od schronu pod Hochfeilerem udajemy się w kierunku wschodnim. Moreną przedłużamy sobie drogę, tak, żeby na

lodowiec wejść nieco powyżej tego co sugeruje znakowany szlak. Po wejściu na lód uzbrajamy się w raki, czekany, linę. Dalsza droga to kluczenie pomiędzy mniejszymi i większymi pęknięciami. Zataczamy dwa duże łuki jakbyśmy dzień wcześniej popili. Wszystko po to, by ominąć najbardziej niebezpieczne strefy. To te, które pocięte są lodowymi rozpadlinami. Dzięki temu bez większych problemów zbliżamy się do przełęczy Obere Weißzintscharte. Dopiero tuż pod siodłem, gdzie zalega śnieg, zaczynają się niepokojące przygody. Raz po raz któremuś z nas zapada się noga. Pod warstwą śniegu ewidentnie są puste miejsca. W pewnym momencie Jacek zmuszony jest robić wygibasy, by się wygrzebać z takiego niepewnego miejsca. Wciąż jednak kończy się na zapadniętych nogach. Będzie gorzej.

Grań

Za siodłem podchodzimy do obniżenia w grani prowadzącej na Punta Bianca (Hoher Weißzint) – szczyt o wysokości 3371 m i nasz cel na dziś. Rozwiązujemy się i dalej, po skalnej grani, posuwamy się do przodu uprawiając łatwą wspinaczkę. Na samym początku mija nas kilka schodzących osób i jeden pies. Pora jest późna więc są to ostatnie osoby, które tego dnia tu wchodziły. Wszyscy oni szli od schroniska z drugiej strony grani, dlatego idą na lekko. Nie musieli przebywać tej samej drogi co my, czyli po lodowcu. Ekspozycja i widoki robią wrażenie. Gdy docieramy do skalnego żandarma w grani, decydujemy się ominąć go od prawej. Przechodzę wąziutką „ścieżką” koło wielkiego bloku skalnego niczego nieświadom. Minąwszy trudności zaczepiam linę i wracam do grupy. Pośredni punkt mocuję do niewielkiej skały opartej o wspomniany wcześniej gład. Na koniec mocuję jeszcze jeden punkt i Sławek rusza jako pierwszy.

Ostrzeżenie

Przechodząc koło gładu oznajmiam, że on się cały rusza i jak go puści to polecą. Albo co gorsza – polecą razem. W tamtym momencie nie wierzę w to co mówi. Jak ważąca tonę skała spoczywająca tam nie wiadomo jak długo miałyby nagle runąć z

uczęszczanego szlaku? Kolejne obrazy jak mam w pamięci to to, że Sławek decyduje się podnieść nogę opartą o felerny głąz, ten zsuwa się zabierając kawałek i tak lichej ścieżki unicestwiając ją w tym miejscu zupełnie. Lina zsuwa się po powierzchni skały i ten nie porywa jej. Kamień z ciasno założonym przelotem wysuwa się w dół goniąc za większym kolegą. Rep zsuwa się w magiczny sposób. Sławek stoi gdzie stał na jednej nodze, głąz roztrzaskuje się poniżej. W ścieżce wyrwa. Lina wisi jak wisiała, tylko już z luźnym przelotem. Pomimo tego decydujemy się przejść dalej.

Odwrót

Kolejne kluczowe miejsce to to, gdzie przymocowałem dalszy koniec liny. Pochylone gładkie płyty nie wyglądają zachęcająco. Jak na potwierdzenie zasadności naszych rozterek zbierają się chmury chowając przed nami słońce. Wracać? Tak, dosyć na dzisiaj. Szczyt w odległości paruset metrów, i tylko 40 metrów powyżej miejsca, w którym stoimy. Jednak nie pora już na takie zmagania, tym bardziej, że dostaliśmy wyraźne ostrzeżenie. Wracamy tą samą drogą co przyszliśmy, choć długo spoglądam poniżej grani – mam wrażenie, że tamtędy też jest podejście. Może bezpieczniejsze?

Zwiad

Po powrocie do początku grani, niedaleko siodła Obere Weißzintscharte, zostawiam plecak i wracam w kierunku szczytu. Jednak tym razem poruszam się szybko u stóp grani, a nie jak wcześniej po jej grzbiecie. W 20 minut docieram niedaleko miejsca, z którego zawróciliśmy. Czy jednak dałbym sobie coś uciąć, że ta droga jest bezpieczniejsza? Właściwsza? Tego nie wiem, ponieważ zawróciłem przed kluczowym miejscem, czyli na samą grań się nie wspiąłem. W każdym razie ta końcówka nie wyglądała zachęcająco.

Surykatka na lodowcu

Po ponownym związaniu się liną przechodzimy siodło i... „uwaga

szczelina!" mówię do grupy z tyłu. Wprawdzie idziemy po naszych śladach, ale znów zapadają mi się nogi. Lina łącząca mnie z idącą jako drugą Agness jest napięta. Idę czując lekki opór, jednak nie przeszkadza mi to. Zapewnia to nam większe bezpieczeństwo. Opór nagle staje się na tyle silny, że nie jestem w stanie zrobić kroku. Odwracam się i... widzę Jacka i Sławka. Agness nie ma. Przedziwne uczucie! Było nas czworo a nagle jest nas trzech. Jacek mówi, że Agness zniknęła jak spławik. Kto łowił ryby ten wie jak. Wołam raz i drugi ale odpowiada mi cisza. Tylko lina wychodząca ode mnie i Jacka wskazuje, gdzie może nasza koleżanka się znajdować. Dlaczego jednak nie odkrzyknie? Nagle, w zupełnie zadziwiający sposób Agness wyskakuje spod śniegu. Szcherzy do mnie zęby w uśmiechu, po czym widzi moją minę (w pierwszej chwili pomyślałem, że sobie jaja robiła i się schowała, więc zamierzałem ją opier...) i tłumaczy się, że wpadła do szczeliny. Co ciekawe – pomimo, że była tuż pod powierzchnią lodowca kompletnie nie słyszała mojego wołania. Po oswobodzeniu wygiętej przez idącą do nas linę ręki, Aga zapierając się rękami samodzielnie wydostała się na powierzchnię. Lina też zrobiła swoje, bo nie pozwoliła jej wpaść głębiej. A było gdzie wpadać.

Na uwagę zasługuje fakt, że w całej tej akcji wszyscy zachowali zimną krew. Jacek przez cały czas na spokojnie asekurował liną naszą Surykatkę, która z opanowaniem opracowywała plan „powrotu”. A Sławek... z ani przez chwilę nie słabnącym poczuciem humoru miał z nas po prostu ubaw.

Powrót

Dalsza część drogi – porównując do opisanych przygód nie charakteryzowała się niczym szczególnym. Choć warto wspomnieć, że zeszliśmy nieco inną trasą (patrz mapka), ponieważ po lodowcu płynęły już o tej porze liczne strumienie i wodospady. Po odkrytych skałach zeszliśmy najniżej jak się dało, po czym po lodowym stoku dotarliśmy do wypłaszczenia, przez które przebiega szlak od Hochfeilerhuetten do Untere Weißzintscharte.

Oczywiście słowo „szlak” jest tu mocno na wyrost, jednak ta część lodowca pozbawiona jest śniegu i ukrytych szczelin. Dodatkowo przemierza ją w ciągu dnia pewna ilość turystów. Późnym popołudniem docieramy do „kurnika”, czyli naszego schronu. Na dziś wystarczy.

Pisane na sucho

Humor, jaki towarzyszył podczas całego tego wyjazdu był specyficzny i zupełnie nie do oddania. To dlatego też długo nie mogłem się za tę relację zabrać. Na koniec postanowiłem, że opiszę to dosyć sucho w formie archiwizacji zdarzeń. A co do klimatów towarzyskich towarzyszącym takim wyjazdom... kto był ten wie. Kto nie był, ten może się tylko sam przekonać, ponieważ każdy wyjazd jest pod tym względem jedyny i niepowtarzalny.

– END –

Tekst – Dzik, na sucho

Zdjęcia – Dzik

Mapka – Jacek

PS. Szczyt Punta Bianca znajduje się w Alpach Zillertalskich. Wyjście miało miejsce 4-go sierpnia 2018 roku w warunkach prawdziwie letnich.

PS2. Spaliśmy tego dnia tak długo, ponieważ dzień wcześniej po całonocnej jeździe pokonaliśmy 1800 mH (z czego 1000mH z ciężkimi plecakami) i zdobyliśmy Hochfeilera – najwyższy szczyt Alp Zillertalskich o wysokości 3510 m n.p.m.